

Ferenc Molnár:

Wspomnienia korespondenta wojennego

Nowy Sącz, czerwiec 1915

Godzina odpoczynku. Nie mogę zapomnieć o Limanowej. Rodzina Pułkownika Muhra otrzymała szlachectwo węgierskie z przydomkiem „Limanowski”. Niegdyś szlachectwo nadawano wraz z majątkiem. Dlaczego więc nie przekażą im maleńkiego kawałka tej brzeziny z okopem, z którego rosyjski karabin maszynowy namalował kółka z czerwonych pereł na piersi pułkownika? Niech przekażą im tylko ten skrawek ziemi... Niech dadzą rodzinom poległych mały skrawek okopu, tam gdzie zginęli, żeby zamienić go na ogród pełen kwiatów-albo niech pozostanie tak jak było... Małe, kilkumetrowe majątki szlacheckie!... A może niepotrzebną udręką jest buntowanie się myślą przeciwko zatarciu, rozmyciu, malowniczemu łączeniu tych wszystkich tragedii w jedno upiękzone cierpienie całego narodu? A może nie ma sensu to moje niezłomne pragnienie utrwalenia pojedynczych losów?

Biecz, czerwiec 1915

Ognisko...

Tuż przed Bieczem, jeśli patrzymy z szosy w prawo, w świetle zachodzącego słońca widzimy ciągnący się przez zdeptane pola, hen daleko, aż do odległych wzgórz, wąski, czerwony dywan. Gdy człowiek podejdzie bliżej, przekona się, że ten dywan to nic innego niż zasieki z kolczastego drutu przeciągnięte przed rosyjskimi okopami w stronę pagórków a cały pas zasieków pełen jest czerwonych maków. Dalej czernieją głębokie okopy rosyjskie, które widocznie zostały opanowane bez walki. Przed makowym dywanem, jak okiem sięgnąć, szarobrunatne, nie zaorane ubiegłoroczne ściernisko. Nigdy dotychczas nie widziałem maków rosnących tak gęsto. W naszych stronach czerwony mak jest kwiatem samotnym, nie wyrasta jeden obok drugiego. Tutaj rosną jeden na drugim, tłoczą się, roją między drutami. Ani przed, ani za drutami nie wyrósł ani jeden... Mam dziwne uczucie, że mak posłużył się zwierzęcym instynktem: na tym sądzie Bożym wyszukał sobie bezpieczne miejsce, którego nie zdeptają ludzkie stopy. Teraz ten jaskrawoczerwony pas ciągnie się w dal, niby chodnik rozwinięty przed wielkim, niewidzialnym królem. Zachodzące słońce rzuca nań złociste promienie, zabarwiając go miejscami krwista czerwienią. Tam gdzie słońce nie dociera, maki są ciemniejsze, chwilami wiec człowiek odnosi wrażenie, że patrzy na czerwony brokat, który w zależności od padających promieni zmienia odcień. Nie można oderwać oczu od tego widoku, bo jest tak sugestywny I w swojej królewskiej wspaniałości tak wiele potrafi powiedzieć o wojnie...

Za czerwonym chodnikiem rozciąga się smutna ziemia, która ostatnich promieniach słońca iskrzy się setkami punkcików. To błyszczą rozrzucone puszeki po konserwach. Setki tysięcy małych puszek lśnią po całej Galicji, jak nie wysychający potok łez... Widać je na poboczach dróg, wśród kwiatów, młodym zbożu, na rozległych pastwiskach. Już od dwunastu

godzin pędzimy na wschód i bodajże nie było takiej godziny, by na horyzoncie nie świecił choć jeden taki nędzny brylant. Rosyjskie puszki pokryte żółta emalią, błyszczą jak złoto, a nasze jak srebro. Ale żołnierz rosyjski, tak samo jak nasz, dopiero wówczas wyją swe puszki, gdy nie miał już nic innego do jedzenia. Tam gdzie pola się iskrzą, tam głodowali ludzie. Dlatego cała Galicja jest obsypana złotem i srebrem. Na większych polach, gdzie biwakowało wojsko, teraz ponurzy chłopci zbierają do worków te błyszczące śmiecie. Jest coś tragikomicznego w tym, ja chciwie pochylają się raz po raz nad tym tandetnym, złotym znaleziskiem.

Pod Bieczem nikt nie zbiera złomu. Tu między błyszczącymi punkcikami leżą ruiny zburzonych domów. W tej okolicy rozdzielały się dwa nierozłączne pojęcia- dom i człowiek. Gdzie stoi dom tam na ogół nie ma ludzi. Samotne domy za miastem musiały stanowić znakomity cel dla artylerii, bo nie widać tu ani jednego całego. Artyleria potrafiła mierzyć dokładnie, bo w pobliżu tych domów widać najwyżej jeden lub dwa leje. Trzeci pocisk był celny. Ze wzgórza widać ze trzydzieści, czterdzieści stert gruzów – tam kiedyś stały małe, wiejskie chałupki. Nie potrzebowały dużo, nawet od jednego pocisku zawały się tak grzecznie, tak posłusznie, że teraz ledwie wystają nad powierzchnię ziemi. Te sterty gruzów robią niesamowite wrażenie, ponieważ często mają nietknięte kominy, które jak czarne nagrobki sterczą na mogiłach swoich chałupek.

Zmierzchno już, gdy dotarliśmy do tych gruzów pod Bieczem. Kiedy opuszczaliśmy zburzone miasteczko, w zapadającym zmroku ujrzałem nagle żarzące się wśród ruin ognie. W pierwszej chwili myślałem, że to resztki żaru spalonych domów świecą pośród rozpadającej się gliny i belek. Lecz gdy podjeżdżamy bliżej, widzę, że pośród małych ognisk stoją kobiety i dzieci gotujące kolację. Cztery lub pięć ognisk pali się w pobliżu. Domy były zbudowane z gliny i z drzewa, więc jeden cios burzył je na zawsze. Z cegieł nie budowano niczego prócz pieca w kuchni oraz komina. Te trwalsze ceglane, elementy pozostawał wszędzie tam gdzie pocisk trafił w bok chałupy, I teraz biedni ludzie przychodzą gotować w tych piecach strawę. Wśród gruzów dymi kilka nago sterczących kominów, a pod nimi wolno stojące paleniska, bucha w nich ogień, dookoła bezdomne rodziny. Słowo „ognisko” w wielu językach oznacza dom. Francuzi dom rodzinny nazywają „foyer”. W naszym języku także słowo „tuzheli” (palenisko) kojarzy się ze słowem „osalad” (rodzina). Ta prastara symbolika języka wyraża to samo, co wstrząśnięty do głębi człowiek widzi tutaj, w tej niemal wymarłej okolicy: istotę pojęcia rodziny, domu rodzinnego stanowi punkt na tym wielkim świecie, gdzie rodzina zapala ognisko. Nie warsztat ojca, kołyska dziecka, nie łóżko małżonków jest duszą, istotą domu, lecz palenisko. I tu, gdzie ta brudna, niechlujna chałupa zaważyło się pod uderzeniem pierwszego pocisku, jak chory pies pod uderzeniem bata, ognisko domowe przetrwało wszystko, co działo się wokół. A rodziny wyszły z lasu i piwnic, gdzie się ukryły, kiedy od strony Gorlic nadciągała burza, jakiej świat jeszcze nie widział – i teraz siedzą skulone wśród ruin i gotują kolację na starym ognisku.

Krosno, czerwiec 1915.

W Krośnie – w samo południe – zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, ale tej chwili nie sposób zapomnieć. Miasto zbudowane jest na wzgórzu; tam gdzie stoję, kilka domów jest zburzonych i dzięki temu mam widok ku dolinie, na niekończące się pola. Na tych polach trzy tysiące jeńców rosyjskich je obiad. Wiem, że trzy tysiące, bo mi to powiedziano. Stojąc w upale południa widzę tylko bezkres pokryty tysiącami dużych, ciemnobrunatnych gąsienic. Kolor munduru rosyjskiego zlewa się z kolorem zdeptanego pola, tak że nie widzę ani skrawka wolnej ziemi – całe pole roi się tysiącami siedzących, kucających, leżących i klęczących ludzi; robią oni wrażenie nieustannie poruszających się grudek. Wspaniały, a jednocześnie odrażający jest ten widok, jakby dolina usiana niezliczonym mrowiem robaków

wielkości człowieka, które bez ustanku pełzają obok siebie, za sobą, po sobie, miejscami zbijając się w kłębowiska. Z tych kłębowisk unosi się dym, tam gotuje się obiad.

Gdy tak stoję i patrzę w dół, za moimi plecami wznosi się ku niebu potężny chór kobiecych i dziecięcych głosów. Towarzyszy mu nie milknące ani na chwilę niezłomne i ostre bicie w dzwony. Całe miasto, pola, powietrze i niebo wypełnia się lamentem chóru, któremu wtórują dźwięki organów. Brama kościoła jest otwarta, to właśnie z jego wnętrza płynie śpiew. Nad tym dzwony – biją wysoko, nierytmicznie, szybko i nagle, jakby na trwogę. W chórze co pewien czas słychać piskliwe głosy dzieci. Południowe słońce praży niemiłosiernie.

Wszystkie domy wokół mnie nie mają dachów ani okien. Sterczą wydzielając odór spalenizny – dziwny, ciepły, cuchnący oddech przypalanego drewna, skóry, tkaniny – trudno to wytrzymać. Chór i dzwony usiłują się przekrzywić, jakby chciały, żeby Bóg je usłyszał, jakby lamentowały oddzielnie nad każdym spalonym domem, nad każdym zabitym człowiekiem.

Przy dźwiękach dzwonów i falującym śpiewie idą jeńcy rosyjscy. Skręcają obok mnie w kierunku pola, do tamtych. Jednocześnie pojawia się długa kolumna małych rosyjskich karabinów maszynowych na kółkach. Te obrzydliwe, zwyrodniałe działa wyglądają jak małe, złośliwe psy.

Nie możemy jechać dalej, bo dwoma szeregami w kierunku frontu, po tej samej drodze, po której idą Rosjanie, pędzone są konie. Teraz wszystko ginie w kurzu: wolno idąca pod bagnetem masa jeńców, rozciągnięte tabuny setek par koni, a między nimi grzechocząca kolumna karabinów maszynowych – i przez gorący oddech kurzu niczym przez zasłonę widzę, jak nagle trzy wstają trzy tysiące jeńców w dolinie; ta masa ludzi, to mrowie wojennej zdobyczy porusza się w tej chwili za wypalonymi domami, a obraz uzupełnia piskliwe i nieprzerwane współzawodnictwo chóru i przestraszonych dzwonów. Przy tamtych domach stoją ranni z obandażowanymi rękami, głowami, przez jedną z chustek sączy się krew. Czuję, że stoję pośrodku krwawego serca wojny, między dymiącymi domami, w kurzu spłoszonych koni, z lamentującym śpiewem podeptanego narodu i biciem dzwonów w moich uszach i moim mózgu. Obok mnie tysiące maszerujących wrogów, przede mną nasi krwawiący żołnierze – i to wszystko na wyszczerbionej przez zburzone domy ulicy, w mieszaninie hałasu, kurzu, upału, smrodu spalenizny, krzyku jeźdźców, szumu tysięcy jeńców przygotowujących się do wymarszu. Nad tym wszystkim góruje nieustanny i niemal płaczący chór dzieci oraz nieprzerwane bicie dzwonów. Jakby tych rzeczy nie można było oddzielić, jakby te różnorodne głosy, postacie, zapachy, ruch, upał, nie były niczym innym, niż samą burzą wojny, która tu przewala się za wrogimi armiami, jeszcze w kurzu, którzy wzbili atakujący. W tej chwili na małej, wypalonej uliczce obecne jest wszystko: krew, kurz, ogień, konie, niewola, bagnety, płacz do Boga i wrzask pędzonych do niewoli wrogów, bicie dzwonów, dymiąca ruina, śpiew dzieci, konie stające dęba, przekleństwa jeźdźców – już nie potrafię określić, czy trwało to pół godziny, a może trzy minuty, bo teraz, skoro minęło, wydaje się, że była to jedna chwila. Nie można jej zapomnieć. Chwila, podczas której zobaczyłem, jak jeńcy rosyjscy jedzą obiad w Krośnie.

Cyt. za: Magury 90, Warszawa 1990, (ISBN 83-85141-05-7), tłum. Ákos Engelmayer